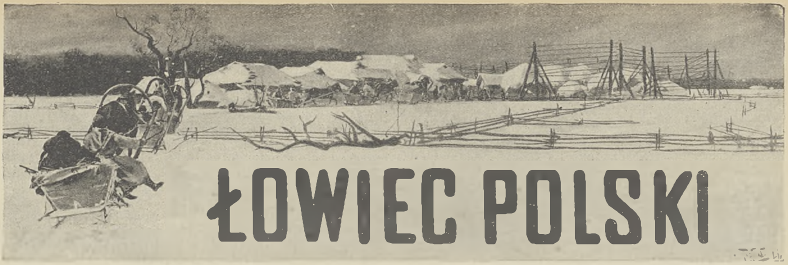


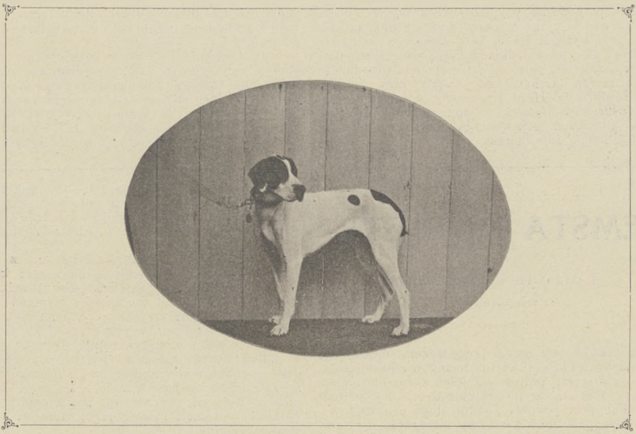
Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 127.

№ 13. | Warszawa, 18 czerwca (1 lipca) 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.

WYSTAWA PSÓW.



Kinsz,
pointerka (medale złote od Warsz. Tow. praw. myśl. i Moskiewskiego Towarzystwa). Własność kap. Hermana.

AKLIMATYZACYA BAŻANTÓW.

(Dokończenie).

Dużo prościej jest, aby kupujący miał pewnego, własnego człowieka przy łapaniu i ładowaniu bażantów i aby wtedy sam ponosił niewielkie ryzyko transportu. Kosze do przewożenia najlepiej razem z człowiekiem przysłać. W niektórych bażantarniach, gdzie jest zaprowadzona uprawa bardzo użytecznej i przez bażanty ulubionej wierzby koszykarskiej, można kosze takie zawczasu na daną ilość obstalować i dostać je po cenie kosztu. Do jednego kosza nigdy nie należy kłaść więcej sztuk jak dziesięć. Można też używać pudełek, ale te są gorsze.

Stosunek kur do kogutów powinien na wiosnę być, jak 7 do 1. Zawsze kogut prowadzi 5—9 kur, czasem może mieć ich do 15-tu; lepiej zatem, aby kogutów było za mało, niż za dużo. W stanie dzikim, gdzie niepodobieństwem jest koguty wystrzelać, jest ich zawsze za dużo, co ma mieć fatalny wpływ na płodność kur. Dowodzi to jeszcze więcej, jak ważnem jest przez umiejętne dokupywanie kur i kogutów, stosunek ten możliwie uregulować. Ilość kogutów, nawet dzikich, w rewirze, przez codzienne wysłuchiwanie zapadów wieczornych, bardzo łatwo daje się najdokładniej obliczyć.

Co do rasy, najlepsze są tylko angielskie bażanty. Przy sprowadzaniu jaj, trzeba być jednak bardzo ostrożnym, bo iprócz rasy „lady Amhurst“ i królewskich, wszystkie jaja są do siebie podobne i angielskich wcale poznać nie można. Do Zypl sprowadzone były dwukrotnie jaja od firmy „Mr. Robb, Liphrok, England“. Cena jednego jajka wynosiła z transportem około 52 kop., podczas gdy krajowe kosztują 30—35, ale są przeważnie tylko z czeskiej rasy i dają bardzo mały procent wylęgu. Nic w tem dziwnego, bo każdy bażantarnik dla siebie odkłada najlepsze, późniejsze, na pewno zalężone jaja, a na sprzedaż przeznacza pierwsze, nieraz nadmarznięte i często puste. Jaja od Mr. Robb, mimo dalekiego transportu, dały około 75% wylęgu; własne, jeśli starannie zbierane, dobrze przechowane i codzień przewracane, nie powinny dać mniej 90%; kupne dają nieraz tylko 1%. Bażantarnia Zypelska sprowadziła raz od Gudery z Wiednia za 600 koron różnych jaj bażancich, Tinamu i kury Minorka. Z tej całej ilości wylęgły się 4 bażanty pseudomongolskie, 6 Tinamu (które też przy pierwszym mrozie zdechły), wreszcie 2 kurcząt hiszpańskich. Ponieważ wogóle zostało 6 ptaków, każdy wypadł po 100 koron. Przykład ten jest bardzo pouczający i dowodzi, jak mało mogą być warte szumne reklamy Gudery, Franka, choćby nawet sławnej, szląskiej bażantarni w Plöhmile, która miała podobno rozwiązać kwestyę absolutnie wątpliwej aklimatyzacyi brazylijskich Tinamu. Nie ulega wątpliwości, że jaja należy sprowadzać tylko wprost z Anglii, żywe bażanty można kupować wszędzie, tembardziej, że się ma możliwość obejrzenia ich na miejscu przed kupnem i wtedy się wie, co się kupuje. Przy kupnych jajach bażancich zdarzało się zaś, że się nawet wylęgały różne przypadkowe ptaki, jak wrony, czajki, kawki i t. p., który to proceder w Anglii jest zupełnie wykluczony.

Od czeskiego bażanta jest angielski znacznie większy, lepiej się chowa i wyróżnia się świetniejszem upierzeniem. Barwa kogutów jest na krzyżach i karkach zielona, na szyi szerokie, białe kołnierze (stąd nazwa *grün-rückige Ringfasanen*), głowy czarne z odcieniem zielonym, niebieskim lub fioletowym, brzuchy czarne, także nieraz z połyskiem. Kury dużo większe od czeskich odznaczają się słabym połyskiem zielonkawym, rdzawym lub fioletowym. W dzikim stanie, jak i w klatkach, znoszą do 25 jaj, czego o czeskich stanowczo nie można powiedzieć. (Gudera reklamuje jakieś Wald-fasanen, które znoszą do stu jaj (?)). Za młodu są angielskie koguty całkiem odmiennie zabarwione, prawie każdy inny, potem przy zupełnem wypierzeniu różnice te się bardzo zacierają. Co roku zdarzy się kilka sztuk białych lub srokatych, które są tylko indywidualnem zjawiskiem, bez dziedziczności, jak białe lub brunatne odmieńce u kuropatw. Białe zabarwienie jest charakterystyczne tylko w rasie angielskiej. U czeskich bywają albinosy siwe (nigdy białe), niesłusznie zwane srebrnemi bażantami i które też nie są stałą odmianą.

Pochodzenie bażantów angielskich przypisują skrzyżowaniu mongolskich, jednostajnie upierzonych, o dużych, białych kołnierzach, z odmianą *versicolor*, świetnie zielono zabarwioną. Sprowadziwszy kilka kogutów *versicolor* i skrzyżowawszy je z angielskiemi kurami, otrzymuje się podobno fantastyczne wybryki upierzenia. Ponieważ dostać ich można tylko zagrani-

ZEMSTA KOBIETY

przez

Ludwika Ternier

(z francuskiego).

Przed kilku laty byłem posiadaczem niewielkiej zgrai mieszańców angielskich fox-houndów z psami saintongeois, z któremi polowałem sobie skromnie na zające i lisy. Pierwsze z nich forsowałem, lisy jednak zdobywałem przy pomocy Fusilia, tego psa czołowego, jak dowcipnie mówił sławny margrabia de Capisuchi Bologne, wuj znakomitego markiza de Foudras, historyografa łowieckiego owych czasów.

Z wszystkich moich pomocników ten Fusilio przyczyniał mi najmniej wydatków, oddając mi nieocenione usługi wzamian za dobry ładunek prochu i umiarkowaną dozę śrótu; człowiek mój, ex-psiarek markiza de Barville, podniesiony przezemnie do godności łowczego, pobierał skromną pensyjkę, służąc mi wiernie i umiejętnie; ale za to moje poczciwe psiska miały większe wymagania, żądając bardzo materyalnej zachęty. Zadowolnić szesnaście żołądków wielkich psów gończych nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, a kwestya karmienia takiej zgrai stanowi dla właściciela kłopot nie mały.

Wychodząc z zasady, że psy są z urodzenia stworzeniami mięsożernemi, spróbowałem karmić me gończaki wyłącznie końskiem mięsem. Rezultat był doskonały. Lecz latem ten sposób żywienia okazał się nieprzyjemnym dla zmysłu powonienia jednego z moich sąsiadów—człowieka przykrego i źle usposobionego; w końcu żandarmerya wdała się w tę sprawę.

Rad nie rad, zmuszony byłem ułożyć wraz z władzami pewien *modus vivendi*, mocą którego pozwolono mi zabijać na miejscu u mnie konie od 1-go października do 1-go maja; wzamian, przez ciąg miesięcy pośrednich, psy moje musiały się kontentować wyłącznie strawą roślinną.

W dawnym sadzie warzywnym, otoczonym murem, urządziłem rzeźnię dla koni podczas chłodnego sezonu. Co pięć dni czyściciel przyprowadzał zwierzęta, przeznaczone na śmierć, zabijał je na miejscu i ze skóry obdzierał. Wtedy puszczano psy na zarżniętego konia.

To niewielkie ogrodzenie było świadkiem śmierci wielu koni i osłów i towarzyszących jej nieraz scen dramatycznych. Raz np. jakiś nieukrócony osiołek

cą, a to za bardzo wysoką cenę, a jaja są całkiem niepewne (sztuka po 3 guldeny), trudno namawiać na tak ryzykowną próbę.

Na zakończenie wypada jeszcze nadmienić, że zarząd Zypelskiej bażantarni chętnie bardzo udziela i prosi o wszelkie dalsze informacye, co do chowu i paszy bażantów, rodzaju sideł i t. d., oraz w ograniczonej ilości przyjmuje za umiarkowanym zwrotem kosztów utrzymania, praktykantów na cały sezon, lub na parę miesięcy hodowli. Korespondencye w sprawie bażantarni prowadzi p. Krafft w zarządzie leśnym dóbr Zyple, poczta i telegraf Izaki, gub. suwalska, stacya kolejowa Pilwiszki na Warsz.-Petersburskiej kolei.

Artykuł niniejszy nie ma bynajmniej pretensyi do wygłaszania niezawodnych pewników w poruszonych kwestyach, lecz tylko podaje zasady i wyniki trzyletnich prób z hodowlą i aklimatyzacyą. Byłoby bardzo ciekawe, gdyby kto zechciał w dalszym ciągu według własnych doświadczeń, spostrzeżenia te uzupełnić.

T. P.

W SPRAWIE SÓW.

Przypomną sobie zapewne nasi czytelnicy, że w końcu roku zeszłego p. E. K. w krótkim artykule wystąpił z gorącą obroną sów, uważając je za prawdziwych sprzymierzeńców człowieka w jego pracy około roli; że następnie w Nr. 5 z roku bieżącego p. T. C. starał się ten pogląd obalić, twierdząc, że sowy w swych poszukiwaniach myszy po polach natrafiają często na stada młodych kuropatw i przepiórek, a wtedy do szczętu je niszczą. Wobec dwóch zdań tak różnych musimy szukać zdania specyalistów, aby trudną sprawę wyświetlić i ogół nasz objaśnić, jakiej drogi trzymać się należy: czy sowom należytą ochroną zapewnić, czy też przeciwnie—tępić je bez pardonu. Sprawę tę poruszyłem już kiedyś w artykule „Projekt ochrony niektórych drapieżników", drukowanym w *Kalendarzu Myśliwskim* z 1897 r. Obawiając się jednak, że nie wszyscy nasi czytelnicy tę pracę czytali, pozwolę sobie powtórzyć tutaj główniejsze moje argumenty, uzupełniając je nowemi.

W kraju naszym spotyka się 12 gatunków sów, z tych jednak 7 należy do wielkich rzadkości i te śmiało mogą być pominięte w naszym przeglądzie, wspomnę więc o nich tylko pokrótce.

1. Sowa jarzębata *(Surnia nisoria)* zalatuje do nas tylko zimą i to nie co roku. Według obserwacyj, czynionych nad nią przez ś. p. Wiktora Godlewskiego na Syberyi, sowa ta łowi w dzień kuropatwy, więc do pewnego stopnia za szkodnika uważaną być może.

2. Sowa śnieżna *(Nyctea nivea)* — podobnie, jak poprzednia, tylko zimą do nas zalatuje i to w bardzo rzadkich wypadkach. Ś. p. Antoni Wałecki znajdował w jej żołądku wyłącznie myszy i inne drobne, ssące zwierzątka. Jako nadzwyczaj rzadka, w rachubę nie wchodzi.

3. Sowa mszarna *(Syrnium lapponicum)* w pojedyńczych tylko, i to nader rzadkich okazach pojawia się u nas. W granicach Królestwa Polskiego zaledwie 2, czy 3 okazy tej sowy zabite zostały. Podobno na Litwie spotyka się częściej i tam znaczne szkody wyrządza wśród bielaków, głuszców, cietrzewi, pardw i innych.

4. Sowa uralska *(Syrnium uralense)* w obrębie Królestwa Polskiego należy do wielkich rzadkości; częściej pojawia się na Litwie i we wschodniej Galicyi. Według zdania Antoniego Wałeckiego i hr. Kazimierza Wodzickiego, jest bardzo drapieżną i napada nawet na bielaki.

5. Sowa włochata *(Ulula dasypus)*—maleńka sóweczka, u nas nadzwyczaj rzadka.

6. Sowa karliczka *(Glaucidium passerinum)* najmniejsza z sówek, a przytem u nas bardzo rzadko spotykana.

7. Puhacz *(Bubo maximus)* bezwarunkowo bardzo szkodliwy, u nas jednak na szczęście prawie zupełnie wytępiony, spotyka się jeszcze tylko niekiedy w lasach na wschód od Wisły.

Z wymienionych powyżej siedmiu gatunków — cztery, a mianowicie: sowa jarzębata, sowa mszarna, sowa uralska i puhacz, należą do szkodnych dla łowiectwa ptaków, ale też one tak rzadko w kraju naszym się spotykają, że mogą być z pod wszelkich debatów wykluczone. Pozostaje nam teraz zrobić przegląd pięciu pozostałych gatunków, które u nas do pospolitych należą, a mianowicie: puszczyk *(Syrnium aluco)*, pójdźka *(Athene noctua)*, sowa płomykowata *(Strix*

---

padł śmiercią dzikich bestyj. Zresztą zapach krwi przyprowadzał zwykle delikwentów do szaleństwa.

Ze wszystkich jednak, po większej części banalnych egzekucyj, następująca zasługuje na przytoczenie z punktu widzenia psychologicznego.

Pewnego razu zjawił się czyściciel, prowadząc za sobą przepysznego ogiera, jabłkowito siwego, prawie karego. Koń trzymał się dumnie, rżąc w odpowiedzi na głosy klaczy z sąsiedniej stajni i tworząc tem samem dziwny kontrast z nieszczęsnemi szkapami, które zwykle przybywały do dawnego sadu, aby zakończyć swój żywot, pełen biedy i cierpień.

Z tyłu postępowała kobieta, młoda jeszcze, pulchna, z jedną ręką na temblaku, zdradzając w całej swej postaci niezwykłą stanowczość. Człowiek mój i ja, podeszliśmy zaintrygowani, a z tej niepewności wyprowadził nas wkrótce czyściciel; konia tego przyprowadził na żer dla moich psów.

W pierwszej chwili myśleliśmy, że zwaryował. Koń bez żadnej wady był wart conajmniej 1,200 fr. Z oburzeniem więc zaoponowaliśmy przeciw tak barbarzyńskiemu aktowi.

Lecz wtedy wdała się między nas kobieta.

Była ona właścicielką wielkiego młyna w odległości paru mil od mojej posiadłości i od chwili śmierci swego męża, sama prowadziła interes. Doglądając swych koni, została strasznie ukąszoną w rękę przez ogiera, którego nam właśnie przyprowadziła; koń ten był zresztą nieukrócony.

Była chwila, że jej groziła śmierć wskutek ukąszenia; doktorzy przepowiadali jej w każdym razie, że straci prawdopodobnie władzę w ręku; wskutek tego skazała sprawcę swego nieszczęścia na śmierć, a słysząc w okolicy o egzekucyach, jakie się u mnie odbywały, postanowiła być obecną nietylko przy zabiciu ogiera, ale także napatrzeć się, jak go psy będą pożerały.

Napróżno ofiarowałem jej wysoką cenę za konia: była nieugiętą. Sam czyściciel robił już jej poprzednio bardzo korzystną ofertę, która, równie jak i moja, była odrzuconą; ruszając więc ramionami, radził nam dać pokój, gdyż wszystko na nic się nie zda.

Nie było rzeczą łatwą wprowadzić tego szlachetnego konia przez wąskie drzwiczki ponurego ogródka, gdzie bielały kości poprzednich ofiar starości, lub niedołęztwa. Charakterystyczny odór tego miejsca budził w nim szalony opór, aż nareszcie z wielkiem niebezpieczeństwem dla ludzi udało się go przywiązać do fatalnego kołka, gdzie go czekał straszny cios, zadawany niewątpliwie z wielkim żalem przez naszego czyściciela.

...Z okropnej rany krew buchnęła strumieniem..! Koń stanął dęba, zerwał postronek, zakręcił się kilkakrotnie wkoło siebie i padając na wznak, runął

flammea), sowa błotna *(Otus brachyotus)* i sowa uszata *(Otus deminuta)*. Z pomiędzy nich odrazu wykluczymy pójdźkę, jako bardzo małą sówkę, zatem dla łowiectwa zupełnie obojętną.

Brehm w swem znakomitem i na wszystkie europejskie języki tłómaczonem dziele, mówiąc o sowach w ogólności, powiada: „Człowiek zbyt często przyłącza się do innych nieprzyjaciół tych użytecznych ptaków. W oczach wielu, zabicie sowy jest chwalebnym czynem. Rzadko kiedy pozwalamy im oddać się spokojnie łowom, gdy przeciwnie należałoby wszędzie uważać je za wiernych sprzymierzeńców, za święte ptaki, godne z naszej strony wszelkiej obrony."

Nie wszystkim może wiadomo, że u sów w żołądku tworzą się kule z szerści, pierza i kości pożartych przez nie, stworzonek. Kule te wyrzuca następnie ptak z siebie przez gardziel, a egzamin ich łatwo wykazuje nam, czem się sowy karmią. Otóż Altum podaje następujący rezultat badań, jakie robił nad rzeczonemi gałkami. W 706 gałkach sowy błotnej *(Otus brachyotus)* znalazł resztki: 16 nietoperzy, 240 myszy, 693 polników (myszy polnych), 1,580 sorków *(Sorex)*, 1 kreta i 22 małych ptaszków; w 210 gałkach puszczyka *(Syrnium aluco)* 1 gronostaja, 48 myszy, 296 polników, 1 wiewiórkę, 33 sorki, 48 kretów, 18 małych ptaszków, 48 owadów, oprócz niezliczonej ilości chrabąszczy; w 25 gałkach sowy uszatej—6 szczurów, 35 polników, 2 ptaki; w 10 gałkach pójdźki — 10 polników, 1 sorka i 11 owadów. Tak więc w tych wszystkich gałkach na 1,328 rozmaitych gryzoniów (szczurów, myszy i polników) wypada zaledwie 42 małe ptaszki. Największy więc chyba pesymista co do użyteczności sów przyzna, że dysproporcya jest zbyt wielka, aby te ptaki potępiać i za nieznaczne szkody w świecie skrzydlatym skazywać na zagładę.

Co do szkód, jakie w zwierzostanach sowy robić mogą, to one muszą być minimalne, a w każdym razie nie mogą być porównane z olbrzymiemi usługami, jakie nam ptaki te, tępieniem szkodnych gryzoniów wyświadczają. Gdyby sowy tak często polowały na młode zajączki, kuropatwy i przepiórki, jak tego chce p. T. C., to przecież Altum znalazłby chyba w owych wyegzaminowanych przez siebie, 951 gałkach resztki tych stworzeń; tymczasem wcale o nich nie wspomina.

Ze zdziwieniem też przeczytałem fakt, zacytowany przez p. T. C., jakoby sowy wyrządzały mu tak wielkie szkody w gołębniku, że w ciągu kilku dni zadusiły kilkanaście par gołębi. Sowy bardzo często osiedlają się nietylko w sąsiedztwie gołębników, ale nawet w nich samych, a zachowują się tak biernie względem gołębi, że te najmniejszej na nie uwagi nie zwracają, uważając je za zupełnie przyzwoitych sublokatorów. Ta właśnie obojętność zachowania się sów względem gołębi, służy za jeden z najsilniejszych argumentów dla obrońców sów. Pozwolę też sobie przytoczyć całkowity jeden ustęp z Naumanna, jednego z najznakomitszych ornitologów niemieckich i nieporównanego badacza obyczajów ptaków.

„Mnóstwo razy widziałem sowę płomykowatą (*Strix flammea*) latającą wpośród moich gołębi. Przyzwyczaiły się one wkrótce do jej obecności, a nie znam wypadku, aby choć raz zginęło choćby jedno jaje lub jedno pisklę; nigdy też nie widziałem, aby atakowała dorosłe gołębie. Na wiosnę zauważono parę tych sów, jak przylatywały na moje podwórze, aż w końcu osiedliły się w gołębniku. Z nastaniem nocy latały one wokoło, wchodziły i wychodziły z gołębnika, a żaden gołąb nie ruszył się nawet. Za dnia, podszedłszy ostrożnie, można je było widzieć w kącie gołębnika, śpiące spokojnie wpośród gołębi, przy całej kupie myszy. I w samej rzeczy, jeśli im się polowanie uda, znoszą one zdobycz do swego siedliska. Prawdopodobnie, gromadzą one sobie zapasy na czas nieodpowiedni do łowów, jak np. podczas ciemnych lub burzliwych nocy."

Jan Sztolcman.

(Dok. nast.).

---

u stóp młynarki, która instynktownie w tył się rzuciła, a teraz patrzała okiem, pełnem okrucieństwa, pozbawionem nawet śladu litości.

Czyściciel zdarł szybko skórę i psy puszczono. Młynarka była pomszczoną.

Gdy psy wbiegły do ogródka, ta straszna mścicielka uspokoiła się i wnet zmysł praktyczny zajął miejsce poprzedniego uczucia zemsty. Z niezwykłym spokojem zażądała nędznej zapłaty, jaką zwykle dawałem za zabite konie i jakby nigdy nic, wyniosła się z ogródka.

Psy jednak nie zjadły całego konia. Mój człowiek, niepozbawiony również zmysłu praktycznego, odłożył starannie na bok kilka delikatniejszych kawałków, uważając je za zbyt smaczne, aby je psom oddawać. Przez kilka dni z rzędu podawano u niego koninę, przyrządzoną—jak mówił—*à la mode meunière*.

Wielkie psy pasterskie.

W odpadkach kuchennych ludzi z epoki bronzowej, obok kości psów niedużych, domniemanych przodków psów ostrouchych, znaleziono szczątki psów znacznie większych, prawdopodobnie protoplastów obecnych ras dużych psów pasterskich. Psy te różnią się wybitnie od psów trzech grup, już przezemnie opisanych, jak również i od dogów, i pochodzą prawdopodobnie od innego gatunku, czy też paru gatunków pierwotnych psów dzikich. Są to psy wielkie, lecz mniejsze od dogów i nie tak masywne, głowy mają lżejsze i mordy więcej wydłużone i niepomarszczone; uszy małe, trójkątne, zwykle obwisłe, a czasami stojące i pochylone naprzód; ogony proste lub słabo wygięte i opuszczone na dół. Szerść u psów tej grupy bywa rozmaita, stosownie do warunków klimatycznych, lub jako następstwo ustalenia pewnych cech zwyrodniałych. Znajdujemy więc duże psy pasterskie z szerścią średnio długą i gładko leżącą, z szerścią ostrą, mniej lub więcej długą i nareszcie zupełnie pozbawione właściwej szerści, lecz za to z nadmiernie rozwiniętym i mocno kędzierzawym spodnim puchem (runem). Wogóle biorąc, wygląd tych psów nie odpowiada nawet bardzo skromnym, estetycznym wymaganiom, pomimo, że są one prawidłowej, silnej i dość lekkiej budowy. Ten brak zewnętrznych zalet wynagradzają odwagą, z jaką bronią stad, powierzonych ich pieczy, i przywiązaniem do swych panów.

Wielkie psy pasterskie spotykamy w całej południowej i zachodniej Europie, w zachodnio południowych krajach Azyi i w Egipcie. Oprócz tego znajdujemy trzy rasy psów w północnej Ameryce, które pochodzą bez wątpienia od dużych psów pasterskich, lecz skutkiem krzyżowań, zmienionych warunków życia, a prawdopodobnie i doboru, znacznie zmodyfikowanych i obecnie stanowiących trzy samodzielne i ustalone rasy. U nas psy tej grupy są prawie nieznane, a że niema powodu, ażeby się kiedykolwiek

miały rozpowszechnić, więc też ograniczę się tylko na ogólnej charakterystyce najwybitniejszych ras.

1. Angielskie psy pasterskie, kuse (Old english Bobtail).

Psy duże, silnej i prawidłowej budowy, obrośnięte długą i ostrą szerścią, zakrywającą oczy i tworzącą długie wąsy i brodę. Koloru bywają białego lub siwego różnych odcieni; w tym ostatnim wypadku pożądane są białe odmiany na szyi, piersiach, łapach i mordzie. Kuse z natury, psy te mają czaszki szerokie i wypukłe; mordy dość wydłużone z bardzo silnemi szczękami; uszy małe, zwieszone; oczy bystre, często przy jasnej maści, koloru perłowego. Bardzo charakterystyczną cechą bobtailów jest ich chód: chodzą one i kłusują zawsze skroczem: galopują zaś bardzo lekko, z opuszczoną głową. Wysokość w łopatce około 60 cm.

2. Francuzkie psy rzeźnickie (Toucheurs de boeufs).

Znacznie większe od poprzednich, gdyż wzrost ich waha się od 65 do 75 cm. Szerść mają również długą, ostrą i lekko pokudlaną, lecz małe, stojące uszy i kiściaste, lekko wygięte ogony, nadają im zupełnie inny wygląd. Różnią się też od bobtailów maścią, która bywa u nich brudno-czarną lub ciemnoburą, i bursztynowym kolorem oczu. Zresztą całą budową, oraz kształtem czaszki i mordy, podobne są do poprzedzających.

3. Psy pirenejskie.

W Pirenejach, obok najrozmaitszych form pośrednich, dają się wyróżnić dwa typy zasadnicze dużych psów pasterskich:

a) psy ostrowłose, z szerścią średnio długą i bardzo ostrą, najrozmaitszych maści,

b) psy z szerścią dość długą na całem ciele, a krótką na głowach i mordach, lecz nie ostrą, maści zawsze białej, jednolitej lub z blado-żółtemi łatkami na uszach.

Obydwie te odmiany mają czaszki lekko wypukłe, mordy dość wydłużone i ogony z sutemi kitami, opuszczone na dół. Psy ostrowłose mają korpus więcej wydłużony, lecz są nieco niższe, gdyż dochodzą do 70 cm. wysokości, podczas, gdy odmiana o włosie gładkim dochodzi do 75 cm. Ogólny wygląd psów pierwszej odmiany jest ponury, dziki i nie odznacza się pięknością; psy zaś białe są bardzo kształtne, ładne i przedstawiają się sympatycznie.

4. Psy włoskie.

We Włoszech istnieją dwie, wybitnie różniące się rasy wielkich psów pasterskich, a mianowicie:

a) Psy z Bergamo, duże i masywne, obrośnięte średnio-długą, gęstą i kędzierzawą, jak u pudlów, szerścią. Szeroka i lekko wypukła czaszka, oraz małe, zwieszone uszy, pokryte są włosem krótkim i gładkim; ogon długi i opuszczony, jest bardzo kiściasty; morda nieco wydłużona, porośnięta jest włosem dość długim, tworzącym ślady wąsów. Wzrost psów z Bergamo jest około 60 cm., a maść jasno-brudno-żółta.

b) Psy z Abruzzów albo *Kalabryjskie,* powstały widocznie z krzyżowania wielkich pasterskich z ostrouchemi, na co wskazują małe, lecz prosto stojące uszy i mordy więcej wydłużone i ostrzej zakończone, niż u innych ras tej grupy, oraz ogony, zakręcone na krzyż. Psy kalabryjskie mają wzrost około 65 cm. i pokryte są włosem długim i jedwabistym na całem ciele, uszach i ogonie; tylko na głowach i nogach włos jest krótki. Maści psy te bywają wyłącznie białej, bez żadnych odmian. (*C. d. n.*)

Z TOKU GŁUSZCÓW.

Zwierzyniec Pilawiński *).

Wezwany telegraficznie z Wiednia przez hr. Józefa Potockiego, na 1 maja r. b., na toki głuszców do lasów Piszczowskich, na Wołyniu, odłożyłem na później załatwienie wielu spraw ważnych, odpowiadając natychmiast potakująco: gdy właściciel świetnych polowań, pragnie się z bratem w św. Hubercie rozkoszą myśliwską podzielić, trzeba zawsze rolę Zawiszy odegrać, — trzeba, żeby gospodarz mógł pomyśleć: „liczę na niego, jak na Zawiszę, to jest towarzysz pewny, jeżeli tylko może, przyjedzie“. Odmawiać niebezpiecznie, — zaproszenie w przyszłości wątpliwe, będą się oglądali za nowym adeptem łowieckiej sztuki, gdyż tamten, dawniej wzywany, niepewny. Zresztą pokusa była zbyt wielką: nie odmawia się zaproszenia na tok głuszców, podobnie jak się skwapliwie przyjmuje wezwanie na rykowisko jeleni; są to, nikt nie zaprzeczy, dwa szczyty w łowieckiej dziedzinie; dążmy tedy ku szczytom: jazda na Wołyń!

W Szepetówce raporta o tokach podgryzają wielkie nadzieje: koguty przestały tokować, z powodu spóźnionej pory; aleź nie trzeba tak zaraz zwątpieniu dać się ogarniać: Szepetowieckie lasy, dawniej w głuszce bogate, dziś nie są miarodajne; jeżeli tych kilka,



znanych tu głuszców tokować przestało, nie wynika przecież z tego, by matnia prawdziwa w dalszych borach, bardziej ku północy wysuniętych, a z Polesiem już prawie graniczących, miała nam tak dotkliwy sprawić zawód — i jako żywo, nie sprawiła.

Istotnie była to ostatnia chwila na tego rodzaju polowanie. Kury już dawno na gniazdach siedziały, jedną nawet ruszono, siedzącą na sześciu jajach. Ciekawem tedy spostrzeżenie: był to tok bez toku, było nawet gorące wynurzanie miłosnych zwierzeń, lecz bez przedmiotu, mającego je przyjąć do wiadomości; miejsce turnieju, opanowane wyłącznie przez walczące, stare koguty, zwycięskie, cieszące się opanowaniem placu boju, a tryumfalne pieśni wygrywane, wspomnieniem chyba niedawno przebytych rozkoszy?...

Otóż głuszce grały, lecz nie tak zawzięcie, nie tak wytrwale, jak w toków pełni, a przedewszystkiem krótko: rozprawiwszy się z jednym, i to wcześnie,

*) Z prawdziwą przyjemnością podajemy czytelnikom naszym ten barwny opis toków i parku Pilawińskiego, skreślony piórem Antoniego Kazimierza hr. Wodzickiego, syna nieodżałowanej pamięci hr. Kazimierza, znakomitego ornitologa. (*Przyp. Red.*).

uprzedzając dnia brzask, już się wiedziało, że tego poranka cisza zapanuje nad tokowiskiem; o podchodzeniu drugiego mowy nie było.

Tylko dzięki, znakomicie w to polowanie wprawionej służbie leśnej, znającej niemal sosny, na których zapadające wieczorem głuszce, rano tokować będą, udało się osiągnąć, w tak krótkim czasu przeciągu, wynik pomyślny. Niemniej nadmienić należy, iż chociaż od lat dziesięciu tu nikt na głuszce nie polował, przecież sztab leśny nie ustawał w gorliwem wypełnianiu obowiązków, w przewidywaniu upragnionego pojawienia się właściciela, niezrażony długoletniem wyczekiwaniem. Wyszkolenie zaś tego sztabu, na pamięć mistrzów przywodzi; dość powiedzieć, że przez szereg lat polował tu nieodżałowany ś. p. hr. Artur Potocki i inscenizator tego tu polowania, J. E. hr. Roman Potocki.

Dziwną była nierówność grania kogutów: zdarzały się poranki, w których wcale pieśni dosłuchać się nie było można, albo, zaledwie w pierwszych akordach, posłyszana, upragniona gra dalej znikła zupełnie, tak, że o podchodzeniu mowy nie było. Hr. Potocki np., który mnie znacznie lepszy rewir odstąpił, w myśl staropolskiej gościnności, cnoty, zawsze u hr. Józefa obficie kwitnącej, podchodził prawdziwie tylko jednego koguta i tego zabił, inne zaś albo wcale nie grały, albo urywały po kilku pieśniach, w nocnych jeszcze rozbrzmiewających przestworzach.

1 maja, godz. 2 m. 27, według czasu środkowoeuropejskiego; to było tak dokładnie obrachowane, że idąc 10 minut od domku myśliwskiego „Hullanka", wkraczało się w przestrzeń, przez toki objętą, z chwilą pierwszej odzywki królewskiego ptaka. Kto ją naśladować potrafi? nawet tę pierwszą; (nie mówiąc już o samej pieśni, która w dziwnej swych tonów elukubracyi, zupełnie nie jest uchwytną) wcale się o to nie kuszę. Telękanie porównałbym chyba do odgłosu przy ocieraniu przez ptaka dzioba o szczebel, ale o szczebel trzcinowy, wewnątrz pusty, gdyż echo donośne. Już po uwerturze, a pieśń, czy nastąpi? Słychać ją; gra artysta, gra tak tajemniczo, misternie, przedziwnie; nie jest to piękne, nie melodyjne, ale tak przejmujące, a przedewszystkiem dziwne. Co ten kogut wyrazić pragnie? Na jakieś nadptasie w pieśni porywa się wysiłki, krztusi się, jąka, a może biada, że on, król naszych ptaków, indyczy ogrom, nie może donośniejszego z siebie wydobyć głosu?! Skazany jest na tę rzewną, cichą odzywkę. bez nadziei silniejszego tonu, o zakończeniu również nieuchwytnem, nieco tylko wydatniejszem, jak gdyby wskazówką dla myśliwego, że z ostatnim akordem ostatni należy krok uczynić, z tym akordem w słup się zamienić, nie istnieć— inaczej kogut wygrał — wygrał ucieczką.

Podskakuję ostrożnie, wolę sobie powiedzieć, postąpię tylko dwa kroki, no, utarguję jeszcze pół, ale nie więcej — krok trzeci może być niebezpiecznym... Już w brzasku rannym czerni się cień olbrzymiego ptaka, na nizkim, tym razem konarze odwiecznej sosny... Ale cóż to? czyżbym sobie był pozwolił na ten krok trzeci i lekkomyślnie powiadomił głuszca o swojej obecności? Czyżby gałązka, podczas pieśni złamana, niefortunny jeszcze później trzask wydała? Nie wiem; do winy się nie przyznaję, a przecież mój pan kogut w ciszę się pogrążył! Widzę cień jego poważny, niepomiernie wydłużony w kształcie butelki, nieinaczej, „robi butelkę", grać już nie będzie, albo w mgnieniu oka się zerwie, albo w postaci butelki siedzieć tak będzie w nieskończoność. Być może, że wcale nie spłoszony, co najprawdopodobniejsze, ale gry już ma dosyć; już się nasycił wspomnieniami — trzeba mu myśleć o śniadaniu, ale na nie jeszcze za wcześnie. Niechybnie tak myśli głuszec; dobrze — on ma program działalności wytknięty, ale ja! w niewygodnej pozycyi, o drętwiejącej nodze, cóż ja mam czynić? Na strzał za daleko; strzelać do cienia, i to dalekiego, ptak nadto szlachetny, by nie po myśliwsku z nim postąpić — a więc co czynić? co dalej? Decyzyi, koniecznie decyzyi! Stało się! Trzeba strzelić — innego wyjścia niema — i dobrze się stało: stary, wypróbowany szermierz legł opodal.

2-go maja zastaję na scenie gracza świetnego; gra tak, jak gdyby w pobliżu, liczne jego wielbicielki nagrodą go darzyć miały, albo przypomina sobie niezliczone rozkosze, z niedalekiej pobrane przeszłości, niemi się odurzyć pragnie, ich żałuje, że nie tak prędko przypadną mu znowu w udziale. A więc kroczę śmiało, pragnę nietylko strzału, ale widoku tych niezrównanych, dziwacznych ruchów, tych kontorsyj, tych rozpraw o bogatej mimice brody, czuba i niespokojnych łap. Otóż danem mi jest, że widzę to wszystko; dopadam sosny, stojącej opodal tej, na której wysoko pod koroną rozprawia kogut, a mam to miłe przekonanie, że dalej iść nie potrzeba, strzał na metę odpowiednią, a przedtem nasycić się mogę żądanemi wrażeniami. Więc widzę: i nagięcie brody przed samem telękaniem, i rozpuszczanie skrzydeł, i wachlarz z ogona zrobiony, jak gdyby podług Rodeck'owskiego na Kohlmarkt'cie wiedeńskim wzoru, i najkomiczniejsze, hiszpańskie kroki na przestrzeni pół metra gałęzi. Nie wiem tylko, czy mój pan kogut stawia łapy, przy tem cyrkowem ćwiczeniu, jedną za drugą, w zwykłym porządku, czy też, urozmaicając sobie w ten sposób repertuar, przekłada je na krzyż? Tego ostatniego szczegółu nie mogłem dopatrzeć..., było za ciemno?!

Ale już dość nasyciłem się tym niezapomnianym widokiem: trzeba dążyć do rozwiązania dramatu. Lecz cóż to? Las rozbrzmiał naraz przejmującem echem. skowyt to straszny, szczekanie jakieś złowrogie, w niczem niezamąconej rozchodzące się ciszy nocnej — jak gdyby z kilku psów naraz żywcem darto skórę!... Lisy! naturalnie lisy! i tu nawet muszą, nieproszone, trzy swoje wściubić grosze, przywieźć na pamięć, że gdzie o kurakach mowa, i te szkodniki się nadstawiać zwykły. Jakże tę orgię przyjął delikatny słuch mego kuraków króla? Przestraszył się — nie mogło być inaczej; wszak w tym skowycie najgroźniejszego wroga poznał odgłos; nie — nie najgroźniejszego — „ja na drzewie, lis na ziemi, można się z miejsca nie ruszyć". On musi wiedzieć, że człowiek groźniejszym: gdybym tak teraz był jakikolwiek niewczesny ruch uczynił, pewniebym się był z głuszcem pożegnał, a skowytu lisiego kurak przecież się nie przeraził. Miałem jednak dość tej próby: od szczekania lisiego głośniejszy odgłos ludzkiej broni: las się zatrząsł, ziemia jękła pod ciężarem spadającego, borów skrzydlatego króla.

I to stary głuszec, o wydatnej brodzie i licznych, białych w ogonie plamach, „w dobrej bieliźnie", jak tam mówią.

Ant. Kaz. hr. Wodzicki.

(*C. d. n.*).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego *).

ROZDZIAŁ I.

Dnia 6 stycznia 1890 r. pożegnałem w Brindisi brzegi Europy, puszczając się w dłuższą podróż na Wschód daleki. Towarzyszył mi doktór Szczucki z Antonin, oprócz tego miałem ze sobą strzelca swego Stefana.

*) Dzięki łaskawemu pozwoleniu Szanownego Autora będziemy w możności zapoznać naszych czytelników z pracami literackiemi,

Po trzydniowej, niezbyt spokojnej, przeprawie przez morze śródziemne, wiozący nas angielski parostatek „Hydaspes", zarzucił kotwicę w porcie Aleksandryi.

Płaska smuga żółtego piasku, kilka mizernych palm, w oddaleniu białe gmachy miasta, z których niejedne noszą dotąd widoczne ślady ostatniego w 1885 r. bombardowania — wszystko oblane gorącym, złotym blaskiem południowego słońca, oto jak się na pierwszy rzut oka przedstawia afrykański kontynent, który tu poraz pierwszy w życiu ujrzałem.

Na pierwszy przystanek w mej podróży obrałem Kair, nie chciałem bowiem opuścić sposobności zwiedzenia, choć pobieżnie, tego tak bardzo ciekawego miasta i znajdujących się w niem zabytków najstarszej niemal w świecie cywilizacyi, a przytem zamiar nabycia na Wschodzie arabskiego ogiera do Antonińskiego stada—zamiar, który był jednym z celów mojej podróży, skierował me kroki do Egiptu.

Zdaje mi się, że na kogoś, kto nigdy Wschodu nie widział i prosto z Północy do ziemi Faraonów przybywa, żaden kraj na świecie nie wywiera większego wrażenia nowością obrazu, żywym kolorytem i ciągłą sprzecznością pomiędzy tem co się dotąd widziało a oryginalnym widokiem starego Egiptu.

W Kairze spędziłem parę tygodni, zwiedzając w mieście i jego okolicach wszystko co widzenia godne, i co turysta w ciągu krótkiego czasu zwiedzić może.

Znani podróżnicy i poważni autorowie tak pięknie i dokładnie opisali Egipt i jego zabytki, że nie czuję się na siłach iść ich śladem. Wogóle sądzę, że osobiste wrażenia podróży po krajach znanych i często opisywanych, wtedy tylko czytelnika zająć potrafią, jeżeli wychodząc poza zakres zwykłych epizodów banalnej podróży turysty, łączą się ściśle z daną osobistością piszącego.

Poszukując koni, przejrzałem wszystkie więcej znane w Kairze stada i stajnie bogatych paszów, arabskich handlarzy, a nawet obozy koczujących w pustyni obok miasta Beduinów. Wycieczki te odbywałem w towarzystwie słynnego oryentalisty a raczej arabomana, Anglika, pana Blunta, który parę lat temu w swych wędrówkach po świecie i o nasz Wołyń zawadził, dla zwiedzenia stada arabskiego w Antoninach. Poznałem się z nim wówczas, i dotąd łączą nas przyjacielskie stosunki. Mr. Blunt jest fanatycznym niemal miłośnikiem arabskich koni, i sam posiada w Anglii ładne stado, wyłącznie z koni z pustyni sprowadzonych złożone, które ciągle nowemi nabytkami wzbogaca.

Dziwny to typ człowieka, który mimo całego swego rozumu i wykształcenia manię oryentalizmu do śmiesznego dziwactwa doprowadził. Prócz wiary, porzucił on wszystko co europejskie: tryb i sposób życia, ubiór, zwyczaje, jada nawet na wschodni sposób palcami, i tylko mleko i wodę pija — jednem słowem zbisurmaniał zupełnie. Mieszka w okolicy Kairu, gdzie się zaczyna pustynia, w domku z gliny ulepionym, nierzadko koczuje obozem na pustyni, otoczony Arabami z Nedżu i Yemenu, z którymi go łączą przyjacielskie stosunki, i którzy w odwiedziny doń przybywają.

Istny angielski Emir Rzewuski, wyrzekł się niemal swej ojczyzny, a anti-angielskie stanowisko, jakie zajął w czasie rozruchów Arabi'ego paszy, ściągnęły nań niełaskę angielskiego rządu i jako karę — wygnanie z Egiptu. Po kilku latach banicyę zniesiono, i powrócił napowrót do swego ulubionego kraju, w którym dotąd stale zamieszkuje, na krótko tylko odwiedzając angielską swą ojczyznę. Żona jego, znana autorka obszernego dzieła o Arabii, kobieta niezwykłych zdolności, i 17-letnia córka dzielą jego życie w pustyni, przybrawszy nawet ubiór arabski.

Panu Blunt zawdzięczam najciekawsze i najprzyjemniejsze chwile mego pobytu w Egipcie, gdyśmy konno na dzielnych arabczykach zapuszczali się daleko w pustynią, odwiedzając obozy koczujących Beduinów i arabskich Szeików z końmi, z odległej Arabii przybyłych.

Ci prawdziwi synowie pustyni witali nas wszędzie z radością, i z wschodnią iście gościnnością przyjmowali w swych namiotach. Znają oni wszyscy Blunta, uważają go za swojego, a nienawidząc wszystkiego co angielskie, pokochali tego giaura, który sercem i duszą do nich przylgnął. W tych wędrówkach nie znalazłem jednakże tego, czego szukałem, to jest pięknego arabskiego ogiera.

Za wiele by mi miejsca zajęło rozpisywać się tutaj o arabskich koniach na Wschodzie, o obecnym stanie tej rasy w jej ojczyźnie, a wreszcie o trudnościach odszukania i nabycia odpowiednich do chowu ogierów, to tylko pewnem mi się wydaje, że dzisiaj nie w Turcyi, ani w Egipcie ich szukać należy. Są one w Arabii Desercie, właściwej swej ojczyźnie, lecz dostęp do tego kraju trudny, dziś niemal niemożliwy; fanatyczne bowiem szczepy wahabickich Arabów bronią wstępu znienawidzonym Europejczykom. Wobec tego, jedynem miejscem, gdzie arabskie konie znaleść można, wyłącznym wielkim targiem na nie są Indye angielskie.

Chciwi zysku arabscy handlarze wyprowadzają corocznie kilka tysięcy sztuk koni przez Bassorę i zatokę Perską do Bombayu, gdzie je Anglicy do armii jazdy i wyścigów rozchwytują. Wszystkie konie oficerskie i wierzchowe w Indyach pochodzą z Arabii, a rozwijający się szybko sport wyścigowy, wyłącznie dla arabskich koni ustanowiony, powiększa z każdym rokiem popyt na Arabów.

Podobny wywóz „en masse" najlepszej młodzieży końskiej z Arabii wpływa nader ujemnie na chów i rozwój arabskiej rasy na Wschodzie i niewątpliwie sprowadzi jej upadek, który już obecnie staje się widocznym. Będę miał jeszcze później sposobność powrócić do tego tematu; wspomnę tu tylko, że udało mi się nabyć w Kalkucie pięknego, gniadego ogiera z pokolenia Obejan Scharak, stanowiący cenny i szczęśliwy nabytek dla mego stada.

Nie mogę tu też nie wspomnieć choć paru słowy o Stanleyu, który właśnie w czasie mego pobytu w Kairze, przybył do tego miasta, powracając ze swej trzyletniej, niesłychanej podróży przez „czarny kontynent", podróży podjętej w 1887 r. celem odszukania i wyswobodzenia zaginionego w podrównikowych prowincyach Egiptu, Emina paszy.

Kilkakroć myślano w Europie, że Stanley przepadł i zginął bez wieści, on tymczasem zwalczając nieprzezwyciężone niemal trudności, kroczył wciąż naprzód, a dopiąwszy wreszcie celu, to jest oswobodziwszy Emina, zdrowo i cało przybył z nim razem do Zanzibaru.

Jak żywo cały świat cywilizowany zajmuje się podróżą Stanleya, dowodzi fakt, że londyński wydawca za prawo pierwszeństwa ogłoszenia drukiem opisu jego podróży, milion franków autorowi ofiarował.

Przyjęty w Kairze z królewskiemi niemal honorami, obdarzony orderami wielkich państw europejskich, był Stanley przedmiotem ciągłych owacyj i uroczystych objawów uznania i podziwu.

Miałem sposobność dwa razy z nim obiadować u angielskiego ajenta, Sir Ewelyn Baringa, i na wielkim bankiecie przez rząd khedywa dlań wydanym.

Na tym bankiecie Stanley wygłosił długą mowę, w której, wobec zgromadzonych dygnitarzy egipskiego rządu, przedstawicieli europejskich towarzystw geograficznych, prasy, oraz licznego grona słynnych podróżników, umyślnie celem powitania go z Europy przybyłych, streścił w krótkości cel, początek i prze-

---

podróżniczo-myśliwskiemi hr. Józefa Potockiego. Dzieła te, których wartość literacką we właściwym czasie krytyka oceniła bardzo wysoko, jakkolwiek wyszły w oddzielnych książkach, jednak zostały zupełnie wyczerpane w handlu księgarskim, a z powodu wysokiej ceny wytwornych tych wydawnictw, dostępne były nielicznym czytelnikom. Niezmiernie radzi jesteśmy, że za pośrednictwem naszego pisma, możemy je udostępnić szerszemu kołu czytelników.

bieg swej olbrzymiej wyprawy. Szereg toastów na tym bankiecie zamknął reprezentant Austryi w komisyi finansów Egiptu, hr. Karol Załuski, który dość długi panegiryk wierszami na cześć Stanleya wypowiedział.

Jakie i czy wogóle cywilizacya odniesie dodatnie korzyści z podróży Stanleya, jakie będą jej skutki handlowe i polityczne dla świata, a w szczególności dla Anglii, której szerokie zaborcze zamiary w centralnej Afryce przypisują—przyszłość to dopiero okaże. Krytyka antagonistów Stanleya wyrzuca mu wiele błędów w jego postępowaniu z murzyńskiemi szczepami, i okrucieństwo w obchodzeniu się z ludźmi. Pod tym względem Stanley rzeczywiście nie przebiera w środkach, szczególniej gdy mu potrzeba dopiąć celu, lub skruszyć piętrzące się zapory. Tysiące ludzkich ofiar, setki popalonych osad i zniszczonych wiosek, krwawym szlakiem znaczą jego pochód, lecz, jak on sam się w swej przemowie wyraził, tylko żelazna wola i nieugięta, sroga niemal energia, może dokonać tak trudnego dzieła jak to, które Stanley wykonał. W każdym razie, jest to dzisiaj najdzielniejszy podróżnik i badacz nieznanych okolic i rad jestem, że mi szczęśliwy traf pozwolił się z nim zapoznać, i niejeden wysoce zajmujący szczegół jego podróży z ust jego posłyszeć. Osobiście nie robi on zbyt sympatycznego wrażenia: suchy, twardy, pewny siebie, przytem żądny reklamy jak prawdziwy Yankee, którym jest z urodzenia.

Pod względem wrażeń myśliwskich nie mam nic szczególnego z czasu pobytu mego w Egipcie do zaznaczenia. W okolicach Kairu zwierzyna rzadka, dużo ptastwa błotnego po jeziorach, lecz brakło mi czasu na to polowanie, które zresztą nie byłoby dla mnie zbyt nowem. Parę razy próbowałem tylko zapolować na szakale około piramid gizejskich.

W dziwny sposób obierają te zwierzęta, jako dzienne legowisko, dziury i rozpadliny na szczytach tych kamiennych olbrzymów, i w nocy tylko schodzą za żerem i wodą. Okoliczni Arabowie znają ich kryjówki, i wdrapując się jak małpy po wysokich stopniach piramid, wypędzają szakala na stojącego u dołu myśliwego. W oryginalnym tym piramidowym miocie widziałem dwa szakale, lecz wskutek zbytniej odległości nie mogłem strzelić.

Wracając o zmierzchu z tej wycieczki, zoczyłem o trzydzieści kroków od drogi, przesuwającego się w trawie rysia, lecz nim zdołałem strzelbę przygotować, znikł mi w zaroślach. Z pozoru podobny zupełnie do naszego rysia, wydawał mi się znacznie mniejszym od tamtego.

W górnym Egipcie polowanie lepsze: hyeny, rysie i wilki należą do zwyczajnej zwierzyny, przytem mnóstwo rozmaitego ptastwa nad brzegiem Nilu. Grubej zwierzyny Egipt nie posiada, i wogóle — jak mówią Anglicy — nie jest to „a sporting land“.

Na wycieczkę po Nilu nie miałem już czasu, pilno mi było do Indyj, do tego czarującego kraju, o niezrównanem bogactwie podzwrotnikowej fauny, do ojczyzny najgrubszego zwierza, na którego zapolować było oddawna przedmiotem moich marzeń i pragnień.

ROZDZIAŁ II.

W dniu 23 stycznia wsiedliśmy w porcie Izmailia w kanale Suezkim na okręt „Oceana“, wspaniały, ogromnych rozmiarów, 7,000 tonn objętości, parostatek angielskiego Towarzystwa P. & O. (Peninsular and Oriental). Statek ten dążący do Australii, miał nas przewieźć przez morze Czerwone do Adenu, gdzie oczekiwał nas drugi parowiec idący prosto do Bombayu.

Podróż morska, jak dla mnie przynajmniej, mało przedstawia uroku i nie mogę zrozumieć upodobania Anglików, którzy dla samej rozkoszy morskiej jazdy, kilkotygodniowe odbywają podróże. Jeszcze gdy morze spokojne, pół biedy, czas jako tako schodzi na czytaniu, rozmowie i spacerze po pokładzie, lecz gdy rozhukane bałwany poczną rzucać okrętem jak piłką, a przybity morską chorobą nieszczęśliwy podróżny leży bez ducha w ciasnej i dusznej kajucie, wtedy podróż po morzu staje się męczarnią, od której gorszej nie znam.

Trafiliśmy szczęśliwie na czas piękny i pogodny; statek spokojnie szybował po równym przestworze Czerwonego morza, a nawet gdyśmy opuściwszy Aden, wypłynęli na pełny ocean Indyjski, pogoda bez wiatru towarzyszyła nam do końca naszej podróży.

W Adenie zamieniliśmy „Oceanę“ na mniejszy, lecz równie wygodny statek „Mirzapore“, a korzystając z kilkugodzinnego przystanku w pięknym porcie, wysiedliśmy na ląd, by zwiedzić miasto Aden, leżące na angielskiem terytoryum południowego wybrzeża Arabii Deserty.

W portowej zatoce uderza na wstępie niezbyt przyjemny widok sterczących ponad wodą masztów, zatopionego niedawno wskutek zetknięcia się z drugim statkiem parowca francuskiego Towarzystwa „Messageries martimes“, który o kilometr od lądu z częścią załogi i podróżnych w samym porcie na dno morza poszedł, świadcząc wymownie o niezawsze pewnem bezpieczeństwie morskiej podróży.

Na płaskiem wybrzeżu pokrytem żółtym piaskiem pustyni, na południowym cyplu, piętrzy się czarna masa skalistych wulkanów o dawno wygasłych kraterach. U stóp skał rozsiadło się miasto Aden. Palące promienie słońca przypominają, że jesteśmy pod 12° północnej szerokości; krajobraz straszny niemal swą martwotą i pustynią, nic, tylko nagie skały wulkanicznej formacyi, dalej ocean piasku i kamieni, ani śladu drzewa lub rośliny, jak gdyby organiczne życie przyrody wymarło tu w żarze piekielnego skwaru.

W mieście również niema nic szczególnie ciekawego, chyba dziko wyglądający nadzy murzyni Somali z przeciwległego wybrzeża Afryki, których tu do robót w porcie używają. Pod względem handlowym w Adenie kwitnie głównie handel strusiemi piórami, znajdujący się w ręku pejsatych Żydów.

Nakoniec 2 lutego nad rankiem, po dwunastodniowej jednostajnej podróży między niebem a wodą, ujrzeliśmy z nieopisaną radością stały ląd Hindostańskiego półwyspu. W parę godzin później „Mirzapore“ zarzucił kotwicę w porcie Bombayu, jednym z najpiękniejszych i największych portów na świecie, a przed południem wylądowaliśmy w mieście.

Miasto Bombay przez swych mieszkańców z dumą „Królową Azyi“ nazywane, leży na półwyspie wąskim, pasem ziemi ze stałym lądem połączonym; jest to metropolia handlowa nietylko Indyjskiego cesarstwa, lecz całej południowej i zachodniej Azyi, oraz główna przystań mnogich tysięcy olbrzymich parostatków, pośredniczących w handlu Europy z dalekim Wschodem.

Wspaniałe gmachy europejskiej dzielnicy, w której i nasz hotel Esplanade się znajduje, szerokie ulice i bulwary, piękne pałace i monumentalne budowle, to widome oznaki europejskiej cywilizacyi u wrót Azyi, świadczące wymownie o kolonialnej potędze W. Brytanii. Za europejską dzielnicą na obszernej równinie rozsiadło się jak ogromne mrowisko, ciekawe miasto krajowych mieszkańców.

Przed zdziwionem okiem Europejczyka przesuwa się jak w stubarwnym kalejdoskopie taka mnogość i rozmaitość najoryginalniejszych obrazów ulicznego życia wielkiego miasta, że godzinami można się patrzeć i nigdy nie znudzić, zmieniającem się wciąż widowiskiem.

(C. d. n.).

PRZYCZYNEK DO ARTYKUŁÓW
p. t.
„Tępienie wilków".

(*Ciąg dalszy*).

3) Trucie padliną.

Jest to najmniej interesujący myśliwego, sposób tępienia wilka, o którym jednak dla całości wspomnę, pobieżnie zresztą, gdyż najmniej oddawałem mu się sam, pozostawiając to podwładnej mi służbie leśnej.

Ogólna reguła strychninowania padliny polega na użyciu do tego możliwie najmniejszej ilości mięsa, a więc kwalifikuje się do tego w pierwszej linii dobrze już objedzony przez wilki koń, z resztkami mięśni i ścięgien, które zaprawia się strychniną przy pomocy opisywanego zakrawania i nasypywania strychniny w powstające stąd szczeliny, które następnie ugniataniem zamaskować trzeba. Ponieważ atoli strychnina jest gorzka i dostawszy się na język, powoduje wypluwanie jej z mięsem (lub gałki zgryzionej przez lisa) przeto do sproszkowanej strychniny dodaje się niewielką ilość drobnych kryształków tłuczonego szkła, które, kalecząc wargi i język, powodują krwawienie i przyspieszają zabójcze działanie strychniny.

Do operacyi zatruwania padliny trzeba mieć obuwie i rękawiczki odwietrzone, t. j. pozbawione wszelkich ludzkich woni, i w tym celu jedno i drugie, przeznaczone do tej operacyi, trzyma się przedtem około pół doby w suchych końskich ekskrementach (ale nie suszonych), przez co nietylko usuwa się obce zapachy, ale dane przedmioty przejmują się wonią, która nie nasuwa wilkom żadnych podejrzeń.

Niektórzy radzą dodawać do strychniny cokolwiek sacharyny, aby tym sposobem zneutralizować jej gorycz, lecz nie próbowałem tego sposobu ani przy padlinie, ani przy lisich gałkach.

Drugi rodzaj padła, to baran (owca), odarty ze skóry po łeb, którego po należytem spreparowaniu strychniną, napowrót obciąga się tąże skórą, a zeszywszy cięcie, zakopuje na pół lub całą dobę w suchy (nie przejęty gnojówką), koński nawóz, poczem wywozi się go w miejsce, gdzie przedtem już wilki zżarły niezatrutego barana, czy owcę, jako przynętę. Barana takiego nie kładzie się rękami, ale wprost spycha się go z sani widłami na ziemię.

Jeżeli wilki pochłoną duże ilości mięsa, w którem miejscami tylko ulokowana strychnina, (boć nie sposób szpikować np. konia kilku funtami strychniny) dostają zawsze wymiotów i najczęściej uchodzą. Dlatego zatem baran, jako ilość mięsa pewniejszy, o ile z koniem nie da się uchwycić odpowiednia chwila ze względu na ilość pozostawionych na kościach mięśni. Po zżarciu dobrze spreparowanej, zatrutej przynęty, wilki leżą w kilkudziesięciokrokowym promieniu.

4) Polowanie na przynętę.

Ten sposób polowania, a właściwie zasadzka, polega na tem, że w miejscach, gdzie wilki stale co roku przywykły dostawać padlinę (i w tym celu miejsce to odpowiednio wybrane być powinno gdzieś na wzgórku otwartym), kopie się dół, 2 i pół do 3 łokci długi, a około 2 i pół łokcia szeroki i do 3 i pół łokcia głęboki z pozostawieniem przy jednym z dłuższych boków czegoś, w rodzaju schoda (czy też ławeczki) z ziemi, który w następstwie pokryty grochowinami i matą słomianą, służyć będzie za siedzenie. Dół ten cembruje się w słupy i pokrywa płaskim dachem równo z ziemią, wynosząc tylko jedną ścianę od strony najwygodniejszej na 6 do 8 cali ponad ziemię, dla urządzenia w niej jednego lub dwu otworów do strzału. Z boku robi się wygodne wejście, coś w rodzaju korytarza, w ziemi wykopanego, i zakrywa się go, lekko i cicho zamykającemi się drzwiami. Następnie dach cały pokrywa się szczelnie ziemią i darniną, nadając mu formę łagodnego pagórka, a strzelnice zamyka się zasuwanemi szybkami dla lepszego utrzymania ciepła wewnątrz takiej czatowni, a zarazem dla niedopuszczenia „zawietrzenia" przez wilki, ukrytego wewnątrz myśliwego. Skoro śniegi spadną, przed nastaniem jasnych, księżycowych nocy zakłada się padlinę w odległości 20—30 kroków od czatowni, naprzeciwko otworów strzelnicy. Przytem zastrzedz muszę, że, jak wejście do czatowni nie może być od strony padliny, a temsamem tam, gdzie strzelniczy otwór, tak samo, padliny np. konia nie kładzie się w poprzek do linii strzału, aby wilka (lub lisa), znajdującego się za koniem, nie zakrywała padlina swym kadłubem, lecz kładzie się go zawsze w przedłużeniu linii strzału, łbem ku czatowni, a to z tego powodu, że wilk operuje padło zawsze najpierw od szyi, potem zaś od brzucha, tym więc sposobem zwierz ten znajduje się zawsze z boku padliny, niczem nie zasłonięty do wygodnego strzału.

Gdy przy codziennych objazdach (nie pieszo) spostrzeżemy, że wilki konia, ewentualnie padło już napoczęły, udajemy się w czasie pogodnej, jasnej nocy, lub w razie posiadania patentowanych celowników i w pochmurną (ale księżycową) noc do czatowni sankami, z których wprost do wejścia zeskakujemy. Rozumie się, że nie wybieramy się nocą już, ale przed zapadnięciem zmierzchu już będziemy w czatowni, zdarza się bowiem, że wilki przychodzą do padła zaraz po zachodzie słońca, a spłoszone widokiem myśliwego, choćby tylko w pobliżu czatowni, już do padliny w ciągu nocy nie podchodzą i na przyszłość stają się ostrożniejsze, gdy strzał nie zawsze je odstrasza.

Na taką zasadzkę trzeba być dobrze ubranym, aby nie zziębnąć, gdyż wogóle czatowni nie opuszcza się przed nastaniem dnia, aby nie zdradzać swojej tam obecności; inaczej płoszy się wilki, które z natury swej tchórzliwe, stają się na przyszłość bardzo ostrożnemi.

Gdy wilki zjawią się przy padlinie, nie trzeba zaraz strzelać, lecz czeka się, aż się dobrze weżrą, o czem świadczy charakterystyczny chrzęst zmarzłych ścięgien, szarpanych łakomą szczęką. Zdarza się też często, że do konia podchodzi w pojedynkę najśmielszy z gromady, a z jego zachowania się przy padle, pozostałe sądzą o swem bezpieczeństwie i podchodzą po czasie gromadnie, lub cofają się przezornie w gąszcz, dlatego też wytrawny myśliwy w takich okolicznościach zrobić może dubleta, zwłaszcza, o ile używa małodymnego prochu. Po strzale nie wychodzi się z czatowni w żadnym razie, nietylko z wyżej podanych już powodów, ale i ze względu na tę okoliczność, że o ile wilki w czasie silnych mrozów są bardzo głodne, wracają do padliny po paru godzinach, co twierdzę z własnego doświadczenia.

K. Satkowski.

(*C. d. n.*)

Konsumcya zwierzyny w Paryżu.

Paryż, liczący 2,600,000 mieszkańców (około 3,000,000 w granicach fortyfikacyj), jest bez wątpienia jednym z największych rynków zwierzyny w Europie, zgrupowanym w tak zwanych Hallach Centralnych. Ongi targ ten odbywał się w rozszerzeniu ulicy „quai des Grands-Augustins", które nazwano „Doliną Nędzy" (*Vallée de Misère*), prawdopodobnie wskutek żałośnego beczenia baranów i rozpaczliwego pisku kurcząt. W r. 1866 przeniesiono go do pawilonu Nr. 4

na rogu ulic Berger i Vauvilliers, lecz i tu zachował on przezwisko „Doliny", niecobjaśnione dla osób niewtajemniczonych. Olbrzymi czworobok, zbudowany cały z żelaza i szkła, niby olbrzymia klatka, przyjmuje co rano do swego łona nieskończoną ilość klatek, skrzyń, koszów, w których drób i zwierzyna w sposób iście braterski odbywają swój ostatni etap na drodze żywota. Samej zwierzyny dostarczono w roku 1901 ni mniej ni więcej, tylko 3,452,585 sztuk, ważących 2,211,411 kilo (około 5,528,000 naszych funtów), a w roku 1902 — 3,104,819 sztuk, ważących 1,965,196 kilo.

Te 1,965,196 kilo zwierzyny wszelkiego rodzaju, zarówno pierzastej, jak i czworonożnej, nie są bynajmniej, jak drób np., pochodzenia czysto francuskiego. Francya dotychczas trzyma prym w produkowaniu doskonałych pulard i kaczek znakomicie tuczonych, zdobywa też w tej gałęzi pierwsze nagrody na wszystkich konkursach międzynarodowych i jak dotychczas, jest prawie jedyną dostawczynią wszelkich bankietów dyplomatycznych. Przeciwnie zwierzyna jest w znacznej części pochodzenia cudzoziemskiego, jak np. w roku 1902 było 720,210 kilo cudzoziemskiej zwierzyny na 1,244, 986—francuskiej. A mianowicie: zające, kuropatwy, kwiczoły i kosy, sarny, jelenie, daniele i kszyki z Niemiec i Austryi (533,656 kilo); skowronki, słonki, kszyki i bażanty z Anglii (6,701 kilo); skowronki, drozdy, kosy, kuropatwy, szpaki—z Hiszpanii (15,123 kilo); słonki, kaczki dzikie, króliki i zające — z Holandyi i Belgii (88,373 kilo); przepiórki i drozdy — z Włoch (67,030 kilo); jarząbki i cietrzewie z Rosyi (8,327 kilo); a wreszcie przepiórki z Turcyi (1,000 kilo).

Ogólna cena sprzedawanej w Paryżu rocznie zwierzyny, wynosi około 4,870,000 franków, a cały ten handel spoczywa w ręku 41 uprzywilejowanych handlarzy hurtowych, czyli tak zwanych „agentów giełdy spożywczej", ustanowionych podczas reformy 1897 roku. Przez ich dopiero pośrednictwo zwierzyna dostaje się z rąk handlarzy prowincyonalnych do rąk wielkich specyalistów z okolic Hal, do Terminusa, do Potina, do fabrykantów konserw, wreszcie do detalicznych handlarzy, poczynając od tych, co mają sklepy, a kończąc na ulicznych przekupniach jarzyn. W wyjątkowych razach zwierzyna dostaje się do Hal wprost z prowincyi.

W SPRAWIE WNIOSKU
o hodowli zwierzyny na sprzedaż.

Szanowny Redaktorze!

Zamieszczone w Nr. 11 „Łowca Polskiego", sprawozdanie z ostatniego Ogólnego Zebrania naszego Towarzystwa obszernie omawia sprawę wniosku hodowli przez Towarzystwo zwierzyny na sprzedaż. Sprawozdanie trzymane jest w duchu polemicznym, bardzo widocznie przebija się sympatya Redakcyi do odrzuconego wniosku i potępienia dla jego przeciwników. Przytaczam słowa Redakcyi: „Czy w gronie prawdziwych myśliwych, myślistwo prawdziwie (miłujących, wniosek o takim obywatelskim podkładzie, jak wyżej przytoczony *in extenso*, powinien być *en bloc* zabalotowany, pozwalamy sobie wątpić". Ponieważ ja zaprojektowałem odrzucenie wniosku *en bloc*, ponieważ nie widzę we wniosku specyalnie obywatelskiego podkładu, a myślistwo, choć nieudolny pachołek św. Huberta, szczerze miłuję, ponieważ nareszcie wniosek przytoczony został w sprawozdaniu dosłownie, głosy zaś oponentów bardzo pobieżnie, proszę o zamieszczenie poniższego uzasadnienia mego poglądu.

Powołując się tedy na osnowę zamieszczonego w numerze 11 wniosku, wyznaję szczerze, iż nie podzielam ani jego zasad, ani konkluzyi.

1) Nie myślę, żeby urządzanie przez Towarzystwo, jak wogóle przez każdego gospodarza terenu łowieckiego, racyonalnych polowań, mogło przyczynić się do wytępienia zwierzostanu, owszem umiejętne polowanie sprzyja pomyślnemu jego rozwojowi, a zresztą do czego prowadzi hodowla, jeśli nie do owoców, które dają łowy. Ośmielam się też zapytać, czy panowie wnioskodawcy nie urządzają w swych posiadłościach polowań, jako prowadzących do wytępienia zwierzostanu.

2) Nie widzę, żeby taki (*od* 1 zaznaczony) kierunek działalności z punktu widzenia ustawy nie miał nic wspólnego z rzeczywistemi zadaniami Towarzystwa, dla poważnego Towarzystwa stosownym nie był i prowincyonalnych członków miał zniechęcać. Owszem ustawa obowiązująca na początku zaraz artykułu 1-go stawia w liczbie zadań Towarzystwa urządzanie prawidłowych w czasie prawnym polowań i wogóle niejednokrotnie tę stronę działalności wymienia. Wszystkie też, bez wyjątku, oddziały Towarzystwa mają swoje tereny i urządzają polowania, a raczej podziw powszechny wzbudziłoby Towarzystwo myśliwskie, któreby wcale nie polowało. To samo dzieje się ze stowarzyszeniami myśliwskiemi zagranicznemi. Z tychże zasad nie widzę, dlaczego urządzanie polowań miałoby się z godnością naszego Towarzystwa nie zgadzać. Nie wierzę również, iżby nasi koledzy prowincyonalni tak mieli być względem kolegów miejskich zazdrośni, że odstręczałaby ich od Towarzystwa świadomość, że wymęczeni na bruku miejskim myśliwi mogą czasem na terenach Towarzystwa zapolować. Znam wielu myśliwych wieśniaków, ale takiego zazdrośnika jeszcze nie spotkałem. Większość z nich nie ubiega się o polowanie na terenach Towarzystwa, bo im innych nie brak, ale są i tacy, którzy z tych terenów korzystają, o czem łatwo się przekonać.

3) Nie zgadzam się nareszcie z mniemaniem, że gdyby Towarzystwo wydatkowało sumę na prowadzenie terenów myśliwskich przeznaczoną, na „rzeczywistą", jak ją projekt nazywa, hodowlę, to jest nie na hodowlę łowiecką, ale kupiecką, to i kraj odniósłby rzeczywiste korzyści, a samo Towarzystwo zyskałoby moralnie i zdobyło wielu członków w osobach właścicieli ziemskich. W tych stwierdzeniach upatruję niestety, dużo nieuzasadnionego optymizmu. Przedewszystkiem sama sprawa zbyt jest małej wagi; hodowla, gdyby nawet przez Towarzystwo podjęta być mogła, musiałaby się ograniczyć do rozmiarów zbyt szczupłych, azeby godną była nazwy sprawy użyteczności publicznej. Lecz mniejsza o szumne frazesy, pytanie, czy zamiar da się korzystnie urzeczywistnić. Ekonomicznie i logicznie hodowla taka miałaby racyę bytu, gdyby umożliwiła sprzedaż zwierzyny rozpłodowej po cenach, opłacających produkcyę i niewyższych od cen na zwierzynę importowaną. Jak drogo by jednak wypadła taka zwierzyna, poucza doświadczenie hodowli myśliwskiej. Nasze Towarzystwo, kółka myśliwskie, prywatni dzierżawcy polowań wiedzą dobrze, że każdy zabity zając na wydzierżawionych terenach kosztuje drożej, niż zając żywy, sprowadzony z zagranicy. Dla celów rozpłodowych należałoby hodowlę prowadzić intensywniej i na skalę szerszą, zaczem należałoby dzierżawić tereny obszerniejsze w glebie żyznej, co przy naszych stosunkach, nie mówiąc o trudności znalezienia takich terenów, kosztowałoby drogo. Kierunek należałoby powierzyć oficyalistom fachowo uzdolnionym, zatem drogo płatnym, ustanowić liczną straż, niezbędną wobec rozwielmożnienia u nas wszelakiego kłusownictwa, cieszącego się niemal bezkarnością, dzięki brakowi ustaw odpowiednich i znanej pobłażliwości sądów. To wszystko wziąwszy w rachubę, trzeba przyjść do niezbitego wniosku, że wartość produkcyi nie pokryje jej kosztów. Przeważnie produkują zwierzynę na rozpłód Węgry, Czechy i Szląsk. Ale kraje te znajdują się w wyjątkowo szczę-

śliwych warunkach pod względem środków naturalnych, kultury i opieki ustaw, niezmiernie surowo karzących kłusownictwo. Nie dziw, że zwierzostan znajduje się tam w stanie kwitnącym i handlarze żywej zwierzyny łatwo swój towar zdobywają. U nas hodowanie na terenach dzierżawionych większej ilości zajęcy rozbiłoby się niechybnie o protest właścicieli, a że tak jest, wiedzą o tem wszyscy dzierżawcy polowań. W wymienionych krajach zwierzyna nie cieszy się również sympatyą w sferach włościańskich. Dość wspomnieć, że podczas zeszlorocznych wyborów do parlamentu niemieckiego na Szląsku zające stanowiły popularne hasło polskich chłopów przeciw niemieckim agraryuszom. Nie widzę tedy możności praktycznego urzeczywistnienia w naszych warunkach omawianego projektu. Nie mówiąc już o stronie technicznej sprawy, której kierunek z konieczności musiałby być powierzony płatnym i obojętnym oficyalistom, a że dobre chęci nie staną za sztukę, przekonała w roku 1899 podjęta próba sprowadzenia znacznej partyi kuropatw na rozpłód: pamiętamy dobrze, że kuropatwy wyzdychały, a Towarzystwo poniosło dotkliwą stratę pieniężną, sięgającą 5,000 rubli. Nie przekonywa mnie przytoczony przez p. Sztolcmana przykład Krośniewic, których administracya corocznie paręset żywych zajęcy sprzedaje. Krośniewice, położone w glebie kutnowskiej, w kulturze dobrej, przy rozległości około 300 włók, wobec rzadkich i na bardzo ograniczoną ilość strzelb urządzanych polowań, wobec naturalnej obfitości zwierzyny polnej mogą bez krzywdy dla zwierzostanu odprzedawać pewną ilość nieodstrzelonej zwierzyny, ale warunki Krośniewic nie dadzą się do terenów dzierżawionych przyrównać. Nie widząc praktyczności podjęcia przez Towarzystwo nasze omawianej hodowli wogóle, tem goręcej sprzeciwiłbym się w użyciu terenów myśliwskich Towarzystwa na hodowlę sprzedażną. Przedewszystkiem właściciele tych terenów na to by się nie zgodzili, ale nawet zasadniczo rzecz biorąc, czyż projekt taki zasługuje na sympatyę? Zwierzyna rozpłodowa normalnie potrzebna jest wtedy, gdy tereny zaniedbane i zubożałe należy szybciej do stanu poprawnego doprowadzić. To jednak są wypadki wyjątkowe. Stałemi odbiorcami zwierzyny rozpłodowej są bogaci właściciele polowań, którzy dla osiągnięcia rekordowych rozkładów wybijają nadmierną ilość spędzonej do miotów zwierzyny, co zmusza do napuszczania świeżej krwi. Dlatego nabywców żywej zwierzyny u nas mało; oprócz naszego Towarzystwa, które zmuszone dobierać bardzo obszernych terenów, bo dla wielkiej ilości strzelb, a ze względów oszczędnościowych tanich, więc chudych, musi słabemu przyrostowi dopomagać, odbiorcy—to kilku lub kilkunastu panów, którzy w małą ilość strzelb wybijają masę zajęcy, bo się w tego rodzaju polowaniu kochają, a stać ich na dogodzenie gustom. Mniejsza jednak byłoby, kto kupi i dlaczego, gdyby można swoją produkcyą odbiorców zadowolnić, pewnie lepiej by było i tych kilku tysięcy rubli do niemców nie puszczać, ale gdyby się to dało z obustronną korzyścią załatwić, t. j. i taniej, niż kupiec zagraniczny, sprzedać i samemu nie stracić. Tego jednak nie dokażemy. Więc te 700 zajęcy, które za 6,500 rb. na polowanie dla naszych kolegów wyhodujemy, sprzedajmy po cenach targowych, więc za jakie 4,000, dopłaćmy przeszło 2,000 do interesu, pozbawmy przeszło 100 uboższych myśliwych możności zażycia rozkoszy myśliwskiej, przyjrzenia się wzorowemu polowaniu, wszak te zające zabijają tacy, którzy sami możni są utrzymywać wzorowe łowiectwo, ale nie my szaraczki—to będzie po obywatelsku, kraj zyska, a my zdobędziemy tytuł racyonalnych hodowców! Wszystko to być może, jednakże ja to między bajki włożę, jak powiedział stary Krasicki.

Przyjm, Szanowny Redaktorze, którego zdanie nie zawsze podzielam, ale którego osobę zawsze czczę i kocham, szczery uścisk dłoni i wyrazy szacunku.

Pozdrowiony św. Hubert. *W. Paszkowski.*

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 15 czerwca. Ryski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa donosi, że z nagród, jakie nasz Oddział wysłał na urządzoną przez Oddział ryski Wystawę psów, przyznano: medal złoty panu Orbeliani za pointera *Boy*; medale srebrne małe: p. Pfejlicer-Frank za niemieckiego wyżła *Erra* i p. Rutkowskiemu za niemiecką sukę ostrowłosą *Daisy*.

Posiedzenie Rady, 22 czerwca. Z Radomia zwrócono się do Rady z prośbą o wskazanie drogi, jaką iść trzeba, aby uzyskać pozwolenie na otworzenie Radomskiego Oddz. Cesarskiego Tow. praw. myśl. Rada postanowiła dać odpowiedź, że należy zwrócić się w tej sprawie z podaniem do Głównego Towarzystwa w Moskwie. Wogóle jednak należy zwrócić uwagę inicyatorów, gubernialnych Oddziałów naszego Towarzystwa, że warszawski Oddział utworzony został dla 10 gubernij Królestwa Polskiego, co zresztą zadokumentowane zostało w wykazie Towarzystw myśliwskich, sporządzonym w d. 1 listopada 1903 r. przez ministeryum rolnictwa i dóbr Państwa. Wykaz ten dołączony był do Nr. 51 „Wiadomości ministeryum rolnictwa i dóbr Państwa“ z 1903 r. Wprawdzie obok Warszawskiego Oddziału utworzono w ostatnich latach także oddziały w Płocku, Piotrkowie i Kaliszu, ale wykaz urzędowy, który cytujemy powyżej, w rubryce, zatytułowanej „rejon działalności“, powiada, że rejony działalności owych Oddziałów nie są wskazane, a my o działalności tych Oddziałów nie mamy żadnych wiadomości. Czy wogóle tworzenie gubernialnych Oddziałów u nas jest pożyteczne? Każda instytucya, chcąc coś zdziałać, musi rozporządzać odpowiedniemi funduszami, a o ile zdobędzie większe środki materyalne, tem pożytek z niej większy. Warszawski oddział na nagrody dla straży ziemskiej za tępienie kłusownictwa wydaje rocznie przeszło 3,000 rb. czyli przeciętnie po 300 rb. na gubernię. Wątpimy, czy gubernialny Oddział, wobec innych wydatków, będzie w możności wydać choć tyleż na ten cel. Rozdrobnienie sił, a więc i środków w danym wypadku nie można uważać za korzystne dla sprawy myślistwa krajowego i dlatego nam wydawałoby się właściwszem, aby całe grupy myśliwych prowincyonalnych przystępowały do naszego Oddziału, który popiera interesy wszystkich swoich Członków w równej mierze. Są sprawy niejednokrotnie takiej natury, że rozstrzygać je może tylko władza Generał-gubernatora i Główno-Dowodzącego wojskami, a w takich wypadkach zawsze łatwiej będzie sprawę załatwić przez Oddział Warszawski, aniżeli przez Oddział gubernialny.

P. gubernator siedlecki zawiadamia Radę, że najgorliwszym w pełnieniu obowiązków w kierunku tępienia kłusowników w gub. Siedleckiej, był strażnik pow. łukowskiego, Jan Kania. Postanowiono dać mu, jako nagrodę, zegarek srebrny z dewizką.

P. Oberpolicmajster zawiadamia, że polecił wydać bilet na broń Członkowi Oddziału p. Karolowi Potworowskiemu. Strażnikowi pow. łukowskiego, Pasternakowi, za energiczną działalność w tępieniu kłusowników postanowiono dać 20 rb. nagrody.

Drobiazgi myśliwskie.

Tępiciele ptaków. Pp. Malcz i Chrostowski, jadąc do rodzin swoich, na przystanku Ząbki pod Warszawą odebrali chłopakom wiejskim 5 słowików, 6 gilów, 2 szpaki, 7 czyżyków i 10 kosów, oraz 5 malutkich zajączków. Ptaki wypuszczono w lesie, ale zajączki, zabrane w celu odchowania, po paru godzinach zakończyły żywot. „Zorza“, pismo ludowe, dobrze uczy-

niło, ogłosiwszy „odezwę do wszystkich“, aby starano się zapobiegać niszczeniu ptactwa. Gazeta odwołuje się do duchowieństwa, aby zechciało z kazalnic przemówić do ludu i dzieci wiejskich w tej sprawie.

Oswojony nietoperz. O rzadkim przypadku oswojenia nietoperza przez profesora uniwersytetu lwowskiego, p. Z. donosi „Słowo Polskie“. Prof. Z. złapał tego nietoperza przed kilku miesiącami w Szczawnicy. Stworzonko to dziwnie już jest przywiązane do swojego opiekuna. Prof. Z. żywił je podczas cieplejszej pory muchami i ćmami, w zimie zaś karmił go wszelkiego rodzaju owadami domowemi, których w mieszkaniach lwowskich znaleźć można zbytnią nawet obfitość. Pielęgnowanie nietoperza o tyle jest utrudnione, że zwierzątko cały dzień śpi, a dopiero z nadejściem nocy budzi się i domaga pokarmu. Nasyciwszy się, długi czas lata po pokoju. Właściwie z nastąpieniem pory zimowej powinien byłby zapaść w sen kilkumiesięczny, zmiana jednak warunków wywołuje już taki objaw nienormalny, że w zimie budził się co drugą lub trzecią noc i zasypiał dopiero nad ranem. Siedzibę obrał sobie w przepaścistych fałdach ciepłego płaszcza zimowego, gdzie uczepiwszy się łapkami, z główką zwieszoną na dół, w roskosznym śnie przepędzał godziny dzienne. Prof. Z. zapewnia, że nietoperz jest nadzwyczaj pojętny i z tej strony zasługuje na bliższe zbadanie.

Myśliwi na „Corso“. Na „Corso“, odbytem d. 18 czerwca, znalazły się dwa breki amerykańskie, które wzbudzały zachwyt ogólny. Jeden amerykan czterokonny, malowniczo przybrany, cały lakierowany na ponsowo, zdobny koszami do kwiatów z materyi ponsowej i rogiem myśliwskim; wszystko to było przybrane żółtemi i białemi liliami wodnemi; na baldachimie świerkowym umieszczono orły, sępy i inne dzikie ptactwo. Brek powożony był z kozła *„four in hand“* przez p. Stanisława Górskiego. Drugi brek czterokonny, cały żółty, z olbrzymiemi po boku koszami do kwiatów w kształcie rogu myśliwskiego, także z żółtej materyi, a przybranemi nader gustownie w nenufary, margieryty, gałęzie świerkowe; koła całe pokryte kwieciem. Na przodzie rogi jelenie, na pudle głowa dzika, na wierzchu ptactwo dzikie. Zaprząg w cztery konie *a la Daumont* w chomątach, pokrytych kwiatami; forysie w ciemno-zielonej liberyi. Obydwa breki otrzymały nagrody w postaci buńczuków.

Polscy strzelcy. W Poznaniu ogłoszono królem kurkowym polaka, p. Pilaczyńskiego. Niemcy nie mieli szczęścia, gdyż mimo, że cała uroczystość miała charakter niemiecki, musieli ogłosić królem polaka. Członkowie — polacy cieszyli się, iż swój paradował w łańcuchu królewskim i że 400 marek nagrody za najlepszy strzał poszło do kieszeni polskiej. Bractwo strzeleckie w Poznaniu niemcy oponawali niemal całkowicie. W Krakowie podczas tradycyjnej uroczystości strzelania kurkowego w niedzielę, d. 19 czerwca, „królem“ za najcelniejsze strzały obwołany został p. Gotz-Okocimski, któremu też przy salwach moździerzowych zawieszono na szyi wielkiego, srebrnego kura, ofiarowanego przez Zygmunta Augusta. Wieczorem w Towarzystwie strzeleckiem odbyła się uczta.

Kule japońskie. Pisma rosyjskie podnoszą zalety bojowe karabinu japońskiego. Kule tej dalekonośnej broni są tak malutkie (6 mm.), że jeżeli tylko kula nie naruszy jakiej, bardzo delikatnej części organizmu ciała ludzkiego i nie zabije odrazu, w takim razie chory w przeciągu dni kilkunastu przychodzi do zdrowia. Zdarzały się już wypadki, że oficerowie i żołnierze rosyjscy otrzymali kilka kul jakońskich, a mimo to szybko powracali do zdrowia.

Przesąd bociani. Względem bocianów istnieje ciekawy przesąd w Strassburgu. A oto historya bocianów w Strassburgu. Gdy w r. 1007 pierwszą katedrę w tem mieście, wzniesioną przez Klodowcusza, zburzył piorun, robotnicy, który w liczbie 10,000 gmach ten odbudowywali, wciąż obawiali się nowej klęski. W miarę jak budowa posuwała się naprzód, wzmagało się udręczenie, zaczęto już nawet mówić o tem, by przerwać roboty, gdy pewnego dnia przyleciały bociany i uwiły sobie gniazdo w rusztowaniach. Wypadek ten napełnił robotników wielką otuchą, zdawało się bowiem już rzeczą niezawodną, że ptaki te są nadprzyrodzonymi zwiastunami, mającymi zaświadczyć niejako, iż katedrze nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Wzięto się więc znowu do pracy, smukłe wieże wciąż rosły, a ptaki coraz liczniej gnieździły się w nich. Już w XII-ym wieku wydane zostały surowe edykty, zabraniające zabijania, lub wogóle niepokojenia skrzydlatych opiekunów katedry. Za każdym razem, gdy trzeba przystąpić do odrestaurowania gmachu, zarządzane są rozmaite środki ostrożności dla ochrony gniazd, całe miasto bowiem zaprotestowałoby energicznie przeciwko wszelkim zamachom, mogącym zakłócić spokojny żywot tych bocianów. Przesąd to tak dobry, jak każdy inny, jeżeli jednak u niemców w Strassburgu utrzymuje się ten przesąd bociani, niema racyi żadnej, aby go uprawiał także lud polski.

Amatorzy psiego mięsa. Na wystawie międzynarodowej, otwartej obecnie w St. Louis, przebywa kilku reprezentantów dzikiego plemienia „Igorotkw“, zamieszkującego na wyspach Filipińskich. Komitet wystawowy sprowadził ich, jako przynętę oryginalną. Po przybyciu dzikich na wystawę, zażądali psiego mięsa, jako pokarmu ulubionego, do którego są przyzwyczajeni z domu. Dozorca wystawy chciał uczynić zadość żądaniu i dać im kilka psów na pożarcie, ale towarzystwo dobroczynne *„Humane Society“* sprzeciwiało się temu stanowczo, jawnie protestując w pismach i grożąc, że pociągnie do odpowiedzialności tych, co będą zabijali psy dla gości. Jeżeli dzicy nie mogą jeść nic innego, tylko psie mięso — piszą przedstawiciele Towarzystwa —, to powinni byli sprowadzić z sobą w tym celu psy filipińskie, ale nie wolno im zjadać psów amerykańskich, któremi opiekuje się właśnie to Towarzystwo.

Przywitanie myśliwskie. Młody dziedzic odbywał uroczysty wjazd do swych dóbr, do których należała i osada, zamieszkana przez „naród wybrany“. Na czele gromady żydów stanęła deputacya i dziedzica powitała następującem przemówieniem:

— Bardzo silny jest ogień. On spala drzewo. Ale silniejsza od ognia jest woda. Dlaczego? Bo ona go gasi. A co jest silniejsze od wody? Łabędź. Bo on sobie pływa po wodzie i pije ją. A kto jest najsilniejszy? Jaśnie wielmożny pan hrabia jest najsilniejszy, bo może tego łabędzia zastrzelić.

* *

Wateller. — Ależ panie, ten obraz to ni pies, ni wydra!
Malarz. · Bo też to jest las, panie mecenasie.

Konkursy Strzeleckie.

Urządzone w r. b. przez Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, konkursy strzeleckie w Strzelnicy Warszawskiej p. R. Zieglera nie wywołały nadzwyczajnego zainteresowania wśród naszych strzelców-sportsmenów.

Czemu przypisać mały udział uczestników? Wiedząc, jak wielu jest u nas myśliwych, dobrze strzelających, i zastanawiając się nad powyższem zjawiskiem, mimowoli przychodzi na myśl wniosek, że od liczniejszego udziału w konkursach powstrzymuje naszych strzelców poprostu jakiś fałszywy wstyd i obawa niepomyślnej konkurencyi ze strzelcami klasowymi, którzy zawsze w takich razach stają do apelu.

A jednakże konkursy są jedynym sprawdzianem doskonałości w sztuce strzelania i wykazania swojej klasy strzeleckiej. Sprawdzian taki pożytecznym jest i dla samego strzelca, daje mu bowiem pewność dokładnego władania daną bronią, co w różnych nagłych okolicznościach życia uwalnia go od rozwiązy-

wania pytania: czy aby trafię? Strzelec-myśliwy ma w stanowczej chwili zbyt wiele innych powodów do silnych emocyj, aby zawczasu nie starał się usunąć choć tego jednego, który wypływa z niepewności co do celności oka i ręki. Nic gorzej nie psuje strzału, jak owa myśl o tem, czy strzał będzie trafiony. Strzelec, który wypróbował broń, oko i rękę w „tirze", który wykazał klasę, wcale o tem w danej chwili nie pomyśli, przeciwnie, jest przekonany, że byle schwycił odpowiedni moment, będzie zwycięzcą. Gdy rogacz ukaże się w gąszczu, klasowemu strzelcowi nie przyjdzie na myśl, czy on trafi do sztuki, szuka tylko odpowiedniego miejsca, aby mu dogodniej było razić zwierza na komorę. O tem, że go trafi, on wie zgóry, a to właśnie daje ową pewność, która najczęściej zwycięża wszelkie przeszkody.

Oto są przewagi, jakie ma strzelec klasowy nad strzelcem, który swej klasy nie sprawdził — i dlatego sądzimy, że strzelanie konkursowe w strzelnicy byłoby pożytecznem dla wszystkich myśliwych.

Co do rezultatów konkursów ostatnich są one następujące:

Konkurs I, pistoletowy, na 16 metrów, do tarczy, nie został dotychczas rozstrzygnięty, bowiem jedyna tarcza w tym konkursie przedstawiona, została zakwestyonowana.

Konkurs II, pistoletowy, do manekina na 25 metr., strzelanie na komendę, 7 kul.

Nagroda I (żeton złoty): ks. Konstanty Radziwiłł z Towian za 35 punktów (maximum).

Nagroda II (żeton srebrny): p. Bronisław Kulakowski za 34 punkty.

Nagroda III (żeton bronzowy) p. Stefan Beni za 33 punkty.

Konkurs III, z broni śrótowej do ruchomego zająca na 40 metr., handicap, serya 20 zajęcy.

Hr. Tadeusz Mostowski i ks. Jerzy Argutyński-Dolgorukow zrobili po 20/20 zajęcy i p. Ignacy Grzędzica 25/26. Pan Grzędzica za I nagrodę, zdobytą na poprzednich konkursach, strzelał, do seryi 26. Przy rozgrywce pomiędzy dwoma pierwszymi strzelcami, pierwszeństwo utrzymał hr. T. Mostowski, nagrody więc przypadły:

Nagroda I (lornetka polowa systemu Henselta), hr. Tadeusz Mostowski (strzelał z broni Lebeau, własność strzelnicy).

Nagroda II (zegar budzik biurkowy) ks. Argutyński-Dolgorukow (strzelał z broni Bodsona).

Nagroda III (żeton srebrny) p. Ignacy Grzędzica (strzelał z broni Jona, lufy Withwort'a).

Konkurs IV, kulowy, do rogacza ukazującego się na 5 sek., na 40 metrów, 5 kul.

Nagroda I (karabinek repetyerowy, 10-strzałowy Winchestera) ks. Konstanty Radziwiłł za 430 □ (strzelał z własnej trójlufki 450 cal. $^1/_2$ ekspres sulskiej fabryki.

Nagroda II (pistolet Browninga) p. Walter Moes za 413□ (strzelał ze sztucerka „Tell" własność Strzelnicy).

Nagroda III (żeton srebrny) kap. Aleksander Zabczyński za 371 □ (strzelał z 3-liniowego karabina magazynowego).

Konkurs V, kulowy, do ruchomego dzika na 80 metr., 5 kul.

Nagroda I (karabin magazynowy Bergmana) ks. Konstanty Radziwiłł za 508 □ (strzelał z magazynowego Mannlichera własność strzelnicy).

Nagroda II (kordelas) ks. Jerzy Argutyński-Dołgorukow za 447 □ (strzelał z 3-liniowego karabina).

Nagroda III (żeton srebrny) p. Walter Moes za 374 □ (strzelał z Mausera własność Strzelnicy).

Konkurs VI, kulowy, do tarczy na 100 metrów:

Nagroda I (żeton złoty) ks. Konstanty Radziwiłł za $39^2/_3$ □ (strzelał z magazynowego Mannlichera, własność Strzelnicy).

Nagroda II (żeton srebrny) za $45^2/_3$□ p. Marceli Łączyński (strzelał z magazynowego Mausera.).

Nagroda III (żeton bronzowy) nierozegrana.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Jerzemu Cieńskiemu. Adres p. H. Hermanna jest następujący: szpital św. Rocha (Krakowskie Przedmieście) w Warszawie. Pan H. jest intendentem tego szpitala.

Szczeniak będzie kosztował około 50 rb.

Treść Nr. 13 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków, półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Іюня 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.